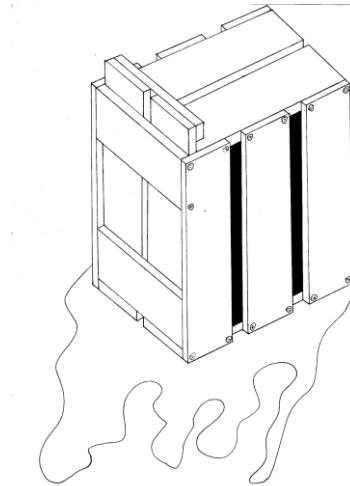




Krew

Wanderlust.pl | podróże i proza

Krew



Gdzieś w stanie Sarawak (Boreno), Malezja, 14 października 2012 r.

Niedzielne przedpołudnie. Idąc piaszczystym poboczem wiejskiej drogi staram się złapać transport, który zabierze mnie do miasta Bintulu na północy częściowo autonomicznego stanu Sarawak w malezyjskiej części wyspy Borneo. Jest gorąco i duszno, niesłychana wilgoć oraz otoczenie tropikalnego lasu tylko wzmacnia zmęczenie. Plecak ciężki, po kilkunastu minutach marszu koszulę można by wyżywać z potu. Droga jest niemal pusta. Inaczej niż większości muzułmańskiej Malezji kontynentalnej, na Borneo chrześcijanie stanowią największą grupę, w związku z czym niedziela powszechnie traktowana jest jako święto i dzień wolny od pracy.

Po chwili z drogi zgarnia mnie swoim pick-upem Andy - chłopak z pobliskiej wioski. W starej Toyocie Hilux i flanelowej koszuli wygląda jak miejscowe wydanie amerykańskiego kowboja. Rozmawiamy o niczym a po kilku kilometrach zjeżdżamy z drogi, zatrzymujemy się przy drewnianej szopie i pakujemy do skrzynki olbrzymiego białego koguta. Jest ogromny, dostojny, waży ze 3 kg. Blask słońca odbija się w jego śnieżnobiałym pierzu.

- Niezły obiad się szykuje - zagajam głupawo.
- To nie na obiad – stwierdza krótko Andy wrzucając szybkim ruchem skrzynkę na pakę samochodu.
- A... po co?
- Chcesz zobaczyć?

Kilka minut później z głównej drogi zbaczamy w jedną z odchodzących w głąb dżungli krętych ścieżek. Pierwsze krople gęstej krwi zauważam już stąpając po dróżce prowadzącej do ukrytego jeszcze bardziej w głąb wzniesienia. Powoli zbliżamy się do rozemocjonowanego gęstego tłumu spowitego pod rozciągniętymi między palami maskującymi płachtami

Większość tu zgromadzonych pochodzi z plemienia Iban, zaliczanego do większej grupy, w innych częściach Południowo-Wschodniej Azji znanej jako Dayak. To autochtoni tej części Borneo, bezpośredni spadkobiercy niegdysiejszych łowców głów. Podobno jeszcze w latach 70 co zacieklejsze grupy potrafiły uzynać sobie łby maczetami w borneańskich lasach, a znalezione w dżunglach czaszki można podziwiać w niektórych świątyniach położonych przy tradycyjnych *long housach*. Dziś Ibańczycy szczycą się swoją gościnnością i szczodrością.

Jest też kilku trzymających się razem malezyjskich Chińczyków, z wytatuowanymi w tradycyjne smoki ramionami. Indonezyjscy robotnicy, przybyli w poszukiwaniu wrażeń przez jedną z licznych zielonych granic z południa. Poza tym kilu Malajów, Filipińczycy wystawiający swoich nieco mniejszych wojowników, brakuje chyba tylko Hindusów. Istna mieszanka, na jej tle muszą wyglądać jak cygan w pośredniaku.

Andy dyskretnie wskazuje głową wielkiego Ibańczyka z tatuażem węża na gardle, wyraźnie wyróżniającego się wśród tłumu. To lokalny watażka, szef grupy trzymającej łapę na zakładach, mam na niego uważać.

Powoli zbliżam się do zebranego dookoła zbitej z bambusa areny tłumu. Próbując znaleźć sobie ustronne miejsce nagle gdzieś z tłumu wyrasta wielkie przedramię odsuwając zgromadzonych, łapie mnie za chabety i przyciąga do siebie aż uderzam o bambusowe barierki. Ibańczyk z węzowym tatuażem wyraźnie chce, abym miał jak najlepszy widok.

Spektakl ma się zaraz zacząć. Gwar, harmider, ścisk, każdy krzyczy w swoim języku. Pod maskującymi płachtami nadzwyczajna wilgotność powietrza tropikalnego lasu powoduje jeszcze większą duchotę. Ktoś zamiata arenę z piór, zasypuje niedbale plamy jeszcze świeżej krwi piachem. Po wewnętrznej stronie ogrodzenia wśród tłumu krąży niski krępy facet ze złotym zegarkiem i sygnetem z trupią czaszką. W zaciśniętej pięści trzyma plik wymiętych banknotów, drugą dłoń wrywa z lasu wyciągniętych rąk kolejne brudne papierki. Postawiłbym nawet jakieś grosze z ciekawości, ale rozterki moralne oraz towarzystwo zakapiora pod bokiem biorą górę i postanawiam nie wyciągać kabzy z ringgitami. Ciekawe jakby mnie grubas zapisał w swoim kajeciku. "Biały samobójca - wmówić że przegrał".

Adrenalina w tłumie wyraźnie wzrasta, gdy na arenie pojawia się dwóch mężczyzn z plecionymi metalowymi klatkami. To znak, że przedstawienie ma się rozpocząć lada chwila. Ostatnie zakłady i tłum jakby milknie spoglądając z zaciekawieniem na rytuał przygotowań. Mężczyźni wewnątrz wyjmują z klatek dwa potężne koguty, w jednym z nich rozpoznaję naszego, białego, drugi natomiast kolor pierza ma czarno-brązowy. Oba do jednej z łap mają już przymocowane długie lśniące ostrza, zakrzywione przypominają zwierzęce pazury.

Najbardziej hipnotyzujący jest widok samych ptaków i ich reakcji. Oba po wyjęciu z klatek zachowują się nadzwyczaj spokojnie, zdają się patrzeć sobie nawzajem prosto w oczy. Niczym pięściarze na ringu, jakby doskonale wiedziały co ich czeka i czym to się za chwilę się skończy. Albo jeden albo drugi, innego wyjścia nie przewiduje się.

Opiekunowie trzymając zwierzęta w obu dłoniach niczym białe gołębie przystawiają je sobie naprzeciw i na umówiony znak uwalniają z uścisku odbiegając na krańce areny. Euforia w tłumie wyraźnie wzrasta, mężczyźni wymachują pięściami i wzmagają wrzawę.

Całość trwa może ze dwie minuty. W powietrzu pojawia się latające gwałtownie pierze, bryzga ciemna krew na otaczający piach wzbudzając tumany kurzu. Po zaledwie kilku chwilach na środku ringu brązowoczarny kogut leży w plamie własnej krwi i osocza, drugi krąży dookoła wyraźnie pobudzony, dumny z wyciągniętą szyją, splamiony czerwienią z ciągnącymi się wnętrznościami też nie wygląda najlepiej.

Opiekun łapie białego ptaka w ręce, drugi natomiast chwytą leżące ciało i unosi w powietrze niczym nowonarodzone dziecko. Dyszy, jeszcze żyje. Z pomiędzy zaciśniętych palców męczyzny da się zauważyć pulsujące coraz wolniej podgardle zwierzęcia, mimo wyraźnie powodującego ból wysiłku próbuje jeszcze trzymać pionowo głowę.

Po chwili pierwszy z mężczyzn podchodzi, przystawia wygranego ptaka drugiemu i pomaga mu zadać ostateczny cios. Jednym wertykalnym sieknięciem ostrza biały kogut rozrywa przegranemu całą długość gardła aż do podbrzusza. Stercząca głowa opada swobodnie wzdłuż ciała jakby była osadzona na plastelinowej szyi. W tłumie euforia sięga zenitu, starszy facet obok mnie z zeszywniałymi wyciągniętymi w niebo pięściami krzyczy w ekstazie. Nad falującymi rękoma widzę jedynie połyskujące splamione krwią dłonie a pomiędzy nimi czarny rozbebeszony korpus z wywalającymi się z podłużnej rany bordowymi wnętrznościami kapiącymi na piach pomiędzy stopami opiekuna.

Po wszystkim stoję nieopodal, paląc papierosa gadam z zakapiorem i spółką czekając na Andy'ego. Ten zjawia się po chwili, rzuca mi dwie puszki ciepłego piwa. Zasłużyłem, przyniosłem szczęście. Nasz wygrał, nasz zabił. Później Andy zawiezie mnie na dworzec i niemal siłą wepchnie do autobusu kupując bilet aż do Sibiu, przy czym odmówi jakiegokolwiek zapłaty twierdząc, że spotkanie mnie przy drodze to był jakiś znak. Sporo wygrał.

Biały kogut jest w opłakanym stanie. Ma kilka wyraźnych ran, brakuje mu sporo pierza. Gdy Andy wkłada go do skrzynki jego ciało pulsuje coraz wolniej, adrenalina schodzi po pojedynku.

- No teraz to już chyba obiad – zagajam.

- Nie, one w ogóle nie nadają się do jedzenia. Z resztą, pewnie i tak nie chciałbyś jeść tego co ma w sobie. Za trzy do sześciu miesięcy dojdzie do siebie i znowu stanie do walki – tłumaczy mi głosem mentora.

Odjeżdżając pick-upem w rytm leniwej muzyki z radia, nad prowadzącą do areny bramą zauważam starą, obdrapaną figurę Jezusa Chrystusa wiszącego na krzyżu, splamionego czerwoną farbą imitującą krew. Dzień święty święcić.

Walki kogutów na terenie całej Malezji są obecnie zdelegalizowane na mocy ustawy nr 772 o dobrobycie zwierząt (*Animal Welfare Act 2015*) zakazującej okrucieństwa w stosunku do fauny. I choć w zdominowanej przez Malajów, Chińczyków i Hindusów Malezji zachodniej turnieje *Sabong* nie są obecnie zbyt popularne, w dwóch częściowo autonomicznych stanach malezyjskiej części wyspy Borneo (Sarawak i Sabah) zamieszkałych w dużej części przez lokalne plemiona, są one uważane nawet za część dziedzictwa kulturowego. W stanie

Sarawak podczas corocznego święta zbiorów *Gawi*, walki kogutów są organizowane na specjalne pozwolenie władz, poza tymi dniami przenosząc się do podziemia w okolicznych dżunglach.

Malezyjski rodzaj ostrza o szerokiej powierzchni tnącej ma wielu zwolenników wśród hodowców walczących kogutów i jest uznawany za jeden z najsukuteczniejszych.

Większość Ibańczyków jest wyznania chrześcijańskiego a tradycyjny *Sabong* często jest łączony z elementami obrządku religijnego.

Galerię do opowiadania możesz znaleźć na: <http://wanderlust.pl/gallery/krew/>